

„Moc, mróz i przewrotki” czyli Zamieć 2014

Autor: Ireneusz Kociołek

Zacząłem się prosto – przeglądając „napieraja” wpadłem na informację o nowych zawodach. 24 godziny szlajania się po górach, w formie pętli brzmiało fajnie, a jeszcze lepiej, gdy doczytałem, że można z tego zrobić sztafetę.

Paweł stawiał opór tylko chwilę i ostatecznie dał się namówić na wspólny start.

Później było kilka problemów. A to kurtka z kapturem, a to gwizdek (ostatecznie kupił go Paweł, cena jakby był ze złota, ale niestety zwykły plastik)..

Organizator nie pozostawił złudzeń – wyposażenie obowiązkowe trzeba mieć i basta. W ramach przygotowań sprzętowych zdążyłem jeszcze przetestować moje stare buty z bieżnikiem i zmusić Pawła, żeby załatwił sobie kijki trekkingowe. Za oknami temperatura rzadko spadała poniżej zera i zasadniczo nastawiałem się na kupę błota z śladami śniegu... a później przyszła zima.

Paweł zaczął coś marudzić („umrzemy” i inne takie), ale stanął na wysokości zadania i w sobotni poranek, o niechrześcijańskiej godzinie 6:00am wyruszyliśmy do Szczyrku.

A Szczyrk przywitał nas słońcem i prószącym śniegiem.... No i mrozem, tak z -14°C.

W bazie jesteśmy pierwsi, przed czasem. Rozkładamy się na sali kinowej i odbieramy pakiety i tu pierwsza z radości tego dnia – obok żeli energetycznych znajduję wypasioną polarową chustę z logo organizatora. Będzie jak znalazł na trasę i pewnie zagości u mnie na stałe w podstawowym ekwipunku na zimę. Udaje nam się przekimać chwilę na karimatach i zaliczyć wyposażenie obowiązkowe (wspomniany gwizdek ze złota znalazł się szczęśliwie w którejś z toreb).

W pewnym momencie wpada Dawid z Anią i jest o czym pogawędzić. Na odprawę schodzi się więcej osób, część rozłożyła się w innym budynku, również przy starcie pętli.

Organizatorzy coś straszą o tym, że trasa trudna, że lód, że nie biegać (nie da się, albo nie wolno, sam już nie wiem, ale chyba to pierwsze?)... patrzę na zegarek i wychodzi, że po odprawie do startu będzie tyle co nic, więc cichcem zaczynam się szykować.

Picia na trasę nie biorę, przy tych warunkach i tak zamarznę zanim po nie sięgnę. Jednym uchem słyszę jeszcze „miejsce niebezpieczne” powtarzane w zasadzie przy każdym odcinku trasy. I jeszcze coś, że raczej się dzisiaj nie spocimy, a najszybszym trasa zejdzie dwie, do dwóch i pół godziny. Odprawa dobiega końca, ja dopakowuję co trzeba i powoli wychodzimy z Pawłem na start.

Założenia – biec przed siebie, nie zatrzymywać się, żeby nie marznąć a odpoczynek będzie na dole.



Zestaw a'la Justyna Kowalczyk na trasę był jak znalazł

Ruszamy bardzo spokojnie, opatuleni kurtkami, chustami i innymi kapturami. Zaraz za startem myślę trasę (wbiegam w odcinek, którym będziemy wracać), by po chwili wrócić do peletonu.

Ten posuwa się jakoś tak za spokojnie dla mnie i swoim tempem wysuwam się na czoło.

Docieramy do pierwszego podejścia i w ruch idą kijki. Goście obok mnie grzeją równo, moc aż z nich paruje, ale bez kijków to w zasadzie ta siła z parą ucieka. Sprawnie wymijam i... przejmuję prowadzenie. Na takich zawodach to nie za dobry znak, ale widać tak musi być.

Postanawiam, że jeśli nie będzie się trzeba szczególnie spinać, to prowadzenia już nie oddam.

Trasa skręca w las, podbiegam tam, gdzie podejścia są mniejsze. Jest mi ciepło, nawet dłonie rozgrzewają się od pracy. próbuję śledzić szarfy, ale nie zawsze są one łatwe do namierzenia, trasa to biegnie drogą, to schodzi do lasu, napierając cały czas pod górę. Sprawnie mijam zamrożone rozlewisko i wpadam na ścieżkę biegnącą trawersem stromego zbocza. jeszcze jeden ostrzejszy podbieg i znowu na drogę. W miarę bezproblemowo docieram do stoku narciarskiego, o którym usłyszałem na odprawie. Uświadamiam sobie, że nie zauważyłem żadnej tabliczki z kilometrami, a GPS padł chwilę po starcie – nie umiem powiedzieć ile jeszcze.

Przy stoku trafiam na pierwszy podmuch wiatru, jest też więcej śniegu – zarówno tego pod nogami, jak i syjącego w twarz. Sprawnie przebijam się przez ten odcinek i wracam do cichego lasu, w którym wije się wąska ścieżka. Znowu stok, wiatr na pięknym singletrack'u grzbietem i... kończy mi się trasa! Po chwili znajduję wzrokiem szarę po drugiej stronie jaru, przedzieram się i wypadam na ubitą drogę prowadzącą w dół. Skonsternowany biegnę dalej wyjmując równocześnie telefon. Nie chciałem zbiec na dół bez zaliczenia szczytu. W czasie rozmowy znajduję tabliczkę „7km” co utwierdza nas, że biegnę dobrze – i faktycznie, po chwili droga skręca w prawo do góry. Pakuję się po kamieniach i widzę na polanie przed sobą dwoje turystów – pytam o drogę na szczyt, a ci mówią, że to ten budynek przede mną. Wchodzę na taras, kierowany szarfami i... nic się nie dzieje. Przez okno patrzą na mnie zdziwieni ludzie, w końcu ktoś wychodzi przed budynek i pyta o numer. Okazuje się, że zaginął w czasie przedzierania się. Pan spisuje mnie, a ja lecę w dół.



Wbrew pozorom był to najłatwiejszy z oblodzonych odcinków.

Po drodze mijam innego zawodnika, który znalazł mój numer. Zbiegam do skrzyżowania i skręcam w prawo. Lecę w dół, ale nie widzę szarf. Waham się, ostatecznie zawracam – no tak, trasa w tym miejscu schodzi z drogi, gdybym spojrzał uważniej, to bym zobaczył. Pędzę w dół trudną, kamienistą drogą i doganiam spotkanego już zawodnika. Razem dopadamy stoku, o którym wspominał organizator – wyręb lasu. Idzie mi to sprawniej niż konkurentowi i wracam na prowadzenie. Nie było tak strasznie, jak zapowiadał organizator. Teraz jakaś droga, cała pokryta lodem – aha, czyli znowu wspomniana atrakcja, bieg strumieniem. Podobno jest tu śli... mimo ostrożności zaliczam wywrotkę. Zbieram się i dalej próbuję iść chaszczami wzdłuż lodu, ale i tak po chwili zaliczam jeszcze jeden przewrót, na szczęście znowu niegroźny. W końcu docieram do końca tego odcinka. Trasa robi się dużo prostsza, można przycisnąć, ale tylko na moment – trasa znowu opuszcza drogę i idzie po stromym zboczu. Tu nie ma lodu, ale stromizna sprawia, że większość pokonuję ślizgiem od drzewa do drzewa. W dodatku średnio widzę szarfy i wypadając na drogę nie mam pewności, gdzie biec. Na szczęście po chwili szarfy wracają. Dzwonię do Pawła, bo to chyba pora, żeby się szykował. Trasa biegnie drogą, po chwili dostrzegam pierwsze zabudowania. Ucieszony, że to już końcówka... zaliczam wywrotkę, tym razem bolesną. „Noż kurna, teraz, na samym dole?!” Zbieram się do kupy i lecę dalej, tym razem baczniej patrząc pod nogi. Dobiegam do mostku, przy którym na początku zmyliłem drogę, a następnie do bazy. Wpadam na parking, a zegar pokazuje 1:49. Po chwili zamieszania odnajduje się Paweł, z którym truchtam kawałek, próbując wytłumaczyć co cięższe fragmenty. Skorupa lodu na twarzy trochę to utrudnia, dopiero teraz dociera do mnie, że jednak jest zimno. Życzę mu powodzenia i zawracam na zasłużony odpoczynek w bazie – pierwsza pętla z głowy.



No gdzie ty jesteś?! Co z tego, że zimno – miałeś czekać!

Mógłbym opisać tak wszystkie cztery pętle które zrobiłem. Każda była niezwykła, każda inna. Nocą było łatwiej – bo trasa już znana, bo odbłaski na szarfach zadziały jak latarnie, w końcu

dlatego też, że organizatorzy reagowali na bieżąco i poprawiali oznaczenia. Mógłbym pisać o kolejnych przewrotkach na drugiej pętli (boliło) i o ich braku na kolejnych dwóch (człowiek się w końcu uczy). Mógłbym, ale... wtedy zacząłbym pisać powieść w odcinkach.

Warto jednak wspomnieć o kilku rzeczach które miały miejsce:

- Seans filmowy „Szlakami świętego Jakuba”, który miał miejsce gdy wróciłem z drugiej pętli. Dostałem nawet lekki opr za to, że głośno jestem, a ludzie tu film oglądają. Kościelna wycieczka stanowiła niezły kontrast do wchodzących i wychodzących zawodników, ale na szczęście miejsca wystarczyło dla wszystkich 😊

- Zamarzające w pojemnikach picie.

O ile to, że zamarzały przy -18 stopniach nie jest szczególnie niezwykle, to już powrót Ani z zawartością bukłaka zamarzniętą na ciuchach był już czymś niecodziennym. Ostatecznie po pierwszej pętli większość zawodników darowała sobie zabieranie picia na trasę.

- Wyżywienie. Pyszne, w dużych ilościach. Pożywny bulion, makaron, ryż (na słodko i na słono), herbata, kawa, ciastka, batoniki... wszystko podawane na bieżąco (Panie kucharki walczyły razem z nami przez całe zawody).

- Pogaduchy. Czy to z Anią wspierającą Dawida Studenckiego, czy to z organizatorami. po 4:00 rano trochę się już rozmowa nie kleiła i czułem się jak po dobrej imprezie (bo w sumie tak właśnie było), ale człowiek jakoś tak przestawał myśleć o tym, że za chwilę znowu trzeba iść biegać.

- Widoczki. W nocy przestał padać śnieg i uciął wiatr. W czasie zbiegu w tle migotały światła Szczyrku. W połączeniu z ciszą dookoła dawało to niezwykle klimat i całość była jakaś taka odrealniona, jakby z dala od rzeczywistego świata. Dopiero wywrotka na lodzie przywracała człowieka do rzeczywistości.

Ogólnie skończyło się tym, że po swojej drugiej Pętli Paweł powiedział „pas”. W sumie to trudno mu się dziwić, nie spodziewał się takich warunków i 30km to i tak niezły wynik. Pełen ambicji ruszyłem na swoją zmianę, a po krótkiej przerwie na jeszcze jedną. Okazało się jednak, że robienie pętli za pętlą to dla mnie trochę za dużo – do bazy wróciłem porządnie przemarznięty, myśląc tylko o ciepłym pomieszczeniu i karimacie.

Nie znalazłem w sobie dość zaparcia by wyjść na kolejne okrążenie, mimo, że do limitu zostało jeszcze 9 godzin. Wiedziałem zaś, że jak zalegnę na karimacie, to rano mobilizacji nie znajdę tym bardziej. Pozostało pogodzić się z wynikiem i pójść spać.



Dziwnie się czuję... ej, cyknijcie mi zdjęcie, chcę zobaczyć jak wyglądam!

Rano pobudka nie była taka straszna. Pakujemy się, jemy śniadanie i obserwujemy przybiegających co jakiś czas zawodników. Cykamy sobie fotki z organizatorami, jemy śniadanie i wrzucamy bagaże do auta. Przed odjazdem zostawiamy jeszcze kijki Dawidowi, który połamał swoje w nocy i życzymy mu powodzenia w pogoni za pierwszym miejscem – wychodził właśnie na dziewiątą pętlę, co dobitnie pokazuje nasze miejsce w szeregu. Około dziesiątej rano ruszyliśmy w drogą powrotną zostawiając za sobą słoneczny i przykryty śniegiem Szczyrk. I tylko

Paweł rzucił na odchodnym, z determinacją w głosie „za rok pokażemy na co nas stać”.
Pozostaje mi trzymać go za słowo, bo Zamieć okazała się imprezą, na którą warto będzie wrócić.



Nie wiem, kto był bardziej zmęczony – my, czy organizatorzy?



*Trzeba przyznać, że jeśli chodzi o gadżety, to organizatorzy wysoko postawili poprzeczkę.
Zdjęcia ze strony organizatora oraz autorstwa Asi (medal)*